



Dębski Eugeniusz

Hell-P

Runa

Wydanie I
Warszawa 2008

Copyright © by Eugeniusz Dębski, Warszawa 2008

Copyright © for the cover illustration by Maciej Dębski Copyright

© 2008 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Jakub Jabłoński

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Urszula Okrzeja, Renata Lewandowska

Korekta: Magdalena Górnicka

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2008

ISBN: 978-83-89595-42-3

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.runa.pl

Konwersja: Nexto Digital Services

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[EPILOG](#)

Podstawowym mankamentem tej powieści, widocznym już na pierwszy rzut oka, jest brak mapki. Co to za powieść, z elementami fantasy, bez mapki? No, ta jest bez. Po co komu mapka III Rzeczypospolitej?

Drugim podstawowym brakiem byłby brak podziękowań, amerykańska wszak powieść bez podziękowań nie istnieje. Zatem i ja dziękuję: Lamii, Ewie Białołęckiej i Andrzejowi Szołtysikowi. Całej trójce za to samo - wysiłek, którego celem było przeniesienie mnie w okolice potrzebnego mi toruńskiego radia. I to się udało.

Poza tą trójką ta powieść nie zawdzięcza już nikomu nic. Cała, na Dobrze i Złe jest moja.

W każdym człowieku siedzi upiór, potwór, diabeł.

Jeśli widzisz takiego, w którym nie siedzi

- uciekaj szczególnie rączo.

Tacy są najchętniej przez diabły zasiedlani.

Może tylko z tą różnicą, że nieco później.

"Myśli bezładne" S. A. Win

PROLOG

Drzwi do budynku się uchyliły, po czym ukazała się ręka i pomachała do mnie.

- Wypuście dzieci! - zawołałem. - Będziecie mieli mnie.

- Chodź tu i nie dyskutuj, bo będzie krzywda! - rozległ się inny głos.

Zaleciało fałszem. Podniosłem ręce wyżej i opuściłem - to był nasz sygnał "Uwaga!". Podeszedłem do drzwi i zobaczyłem, że stoi tam mężczyzna z bronią. Nie starszy z braci, Marek, tylko... I nie młodszy, Józek. Ktoś inny, bardzo marnie przypominający Józka. Wykrzywił usta w pogardliwym grymasie i pomachał lufą tetetki.

- Zrzuć kamizelkę! - warknął.

Wolno odpiąłem rzepy, podniosłem płat brzuszny, obróciłem się i podniosłem to, co miałem na plecach. Przy okazji wyskandowałem bezgłośnie, samymi ustami do wpatrzonych we mnie Boja i Żaby: "To. Nie. Jó. Zef". Znowu stanąłem twarzą do bandyty.

- Ściągaj, powiedziałem.

- Wolę mieć na sobie...

- Możesz se woleć. Zrzucaj, kurwa! Po chuj tu przylazłeś? Kłócić się ze mną?

Odpiąłem jeszcze dwa rzepy i rzuciłem kamizelkę na suchą trawę.

- Włóż!

Wszedłem do budynku.

Bandzior się cofnął, skinął na mnie i pokazał, że mam stanąć twarzą do ściany. Przejechał ręką po moich plecach, bokach i kroczu, podejrzenie sprawnie. Coś tu śmierdziało, coraz mocniej. Szarpnął mnie za ramię i pchnął w stronę otworu drzwiowego na wprost drzwi wejściowych; w korytarzu, w którym staliśmy, biegnącym wzdłuż ściany zewnętrznej, były jeszcze trzy drzwiowe otwory, jedno po prawej i dwie pary po lewej. We wszystkich brakowało nawet ościeżnic, zaradni miejscowi wypruli kiedyś wszystko, co się dało. W pokoju, do którego mnie wepchnął "Józek", było okratowane okno. Do krat z lewej i prawej przywiązali za nadgarstki dzieciaki. Chłopcy stali zapłakani, z buziami, na których rozsmarowały się łzy i brud. Uśmiechnąłem się do nich, tylko czy to mogło dodać im otuchy? Dorośli może by się ucieszyli, że odsiecz jest blisko, a czy ośmiolatka może pocieszyć świadomość obecności posiłków?

Ten drugi, to był Marek, miał za pasem broń. Znaczy gazowiec. Może dlatego

nie strzelał, żeby się nie zdradzić. To on został "trafiony" – draśnięty w głowę powyżej ucha. Ale tylko draśnięty. Krwawienie już ustało.

- Dzieci was obciążają – powiedziałem, przekroczywszy próg. – To dla was tylko kłopot. Nie męczcie ich, wypuście, a ja przecież zostaję. I będziemy rozmawiali.

- O czym, kurwa?! – Podskoczył do mnie ten z tetetką i wsadził mi lufę pod brodę. Potulnie zadartem wysoko głowę; nie patrzyłem mu w oczy. – O czym, ty wszo pierdolona?

"Wesz" – szpieg. Albo gość umyślnie popisuje się kminą, albo rzeczywiście siedział, czyli na pewno nie Warnicki.

- Przecież chyba nie macie złudzeń, że się stąd wyrwiecie? – Za lasem zaburczały silniki. – Śmigłowiec, słyszycie? Za kilka minut nawet zając nie wymknie się z kordonu.

- Pierdolę zajęce – powiedział i stuknął mnie kolbą w czoło.

W gruncie rzeczy dałem ciała. Trzeba było wyrwać mu broń; ten drugi, z gazowcem się nie liczył. Po pierwsze, w zasadzie nie miał broni, po drugie, chyba widział, że się wpakował w niezłe szambo. No i nie strzelał do ludzi, on miał o co się targować. Ale trudno, dogodny moment umknął. Potarłem czoło, żeby bandzior poczuł satysfakcję. Odskoczył.

- Chcesz gadać, to najpierw słuchaj – powiedział. – Chcemy jedną waszą furę, siadasz za kierownicą, bierzemy bajtla i jedziemy sobie stąd. Jak będziemy poza kordonem, wypuścimy was i po krzyku. Nie bój się, nie będziemy wyrwać chwasta.

"Wyrwać chwasta" – zabić przedstawiciela prawa. To też mi śmierdziało. Musiał wiedzieć, że zastrzelił kogoś w banku, że nie ma co liczyć na okoliczności łagodzące, i patrząc mi prosto w oczy, udawał, że nie ma takiej wiedzy. Na co liczył? Na wóz liczył, na wóz, potem trzepnie się w tył głowy kierowcę, z czystej sadystycznej nienawiści do wszystkiego i wszystkich, którzy nie mają takich kłopotów jak oni, zabije Warnickiego i dzieciaki, i runie w Polskę. Zdesperowany, rozjuszony, rozgrzeszony we własnym popierdolonym sumieniu. "Postępuję tak, bo oni mnie do tego zmusili! Gdyby się nie pchali ze swoimi spluwami, gdyby mi pozwolili spokojnie odjechać... A tak to macie!".

- Wiesz, że to niewykonalne. Nikt mi nie pozwoli dać wam fury – powiedziałem. – Choćby dlatego, żebyście nie mogli narozrabiać więcej. – Popatrzyłem na Warnickiego. – W tej chwili jeszcze nie wszystko stracone, ale jeśli odrzucicie okazję do uwolnienia zakładników, prawo zacznie doliczać wam miesiące i lata z każdą godziną przetrzymywania dzieci.

Warnicki obrzucił rozpaczliwym spojrzeniem dzieci; młodszy chłopiec zaczął płakać. Odwróciłem się do niego, żeby powiedzieć coś uspokajającego, ale nie zdążyłem. Ten z pistoletem odskoczył jeszcze o pół kroku, nagle odwrócił się i strzelił do współnika. Mężczyzna zgiął się wpół, trafiony z odległości metra w

brzuch i z jękiem zwałił się na kolana. Przyciskając ręce do tułowia, wytrzeszczył oczy.

- Poso... ka? Co ty robisz-sz?

Zwałił się na bok. Obaj chłopcy ryczeli na cały głos.

Posoka popatrzył na mnie. Spokojnie podniósł pistolet. Cholera, ile jeszcze miał tam naboji? Przeładowywał wcześniej? Miał zapasowe magazynki czy zostały mu tylko trzy pociski? Nie, za pewnie się czuje, musiał mieć zapas amunicji - i wycelował do mnie.

- Nie będziemy negocjowali, psie! - wycedził. - Albo zrobisz, co ci każę, albo rozwalę jednego szczyla... - Przesunął lufę i wymierzył w młodszego z chłopców.

- Pif! - powiedział i udając podrzut, uniósł z uśmiechem pistolet.

- Posoka-a... - jęknął Warnicki.

Posoka odwrócił się do niego.

Nie było już na co czekać.

ROZDZIAŁ 1

Podobno najlepszym początkiem powieści mogłoby być takie zdanie: "- Kurwa mać! - rzuciła księżna".

Na pewno najgorszym początkiem dnia roboczego byłoby: "- Panie Kamilu, szef pana prosi".

Ja nie jestem w powieści, nie jestem księżną. To do mnie ruda, aktualnie, Stefa powiedziała:

- Kamil, stary cię bierze. Chyba zjebka.

Tego się za bardzo nie bałem. Nie miałem nic na sumieniu, ale też nie miałem nic do roboty, a to oznacza, że szef może mnie w coś wkręcić.

W zadanie.

- Już teraz? - zapytałem rudą.

- Za... - rzuciła okiem na monitor przed sobą - ...kwadrans.

Dobrze, coś sobie wyszukam. Pognałem łącznikiem między dwiema willami, ze swojej części do archiwum.

- Józwa - rzuciłem, udając lekką zadyszkę - daj mi coś. Coś do roboty.

Pokręcił głową.

- Nie? Nie dasz? Ty? Mi nie dasz?

- Nie dam. Stary już dryndał i powiedział, że jeśli przyjdiesz z jakąś pozorą, to mi wsadzi w dupę materac dymany i zacznie...

- Dobra, sam se nadymaj.

Czyli wtopa, i z wyjazdu na łono nici. A tak lubiłem, na polanie, w kwieciu, w wysokich zielonych rozgrzanych słońcem trawach...

Spróbowałem inaczej:

- Opowiem ci dobry dowcip?

Józwa oderwał wzrok od monitora:

- No?

- Stoją trzej faceci przed zamkiem maga. Jeden mówi: "Cieszę się, że już tu jestem. Mag da mi mądry rozum!". Drugi: "A mi dobre serce!". Trzeci: "A mnie?". Dwaj pierwsi: "A ty będziesz dawcą!".

Poruszył żuchwą na boki, co u niego oznacza szeroki uśmiech, już myślałem, że go mam, gdy nagle warknął:

- Kamilek! Kurwa, co z tobą? - Wskazał palcem wyciszony niemal do zera interkom: - Stary cię szuka!

Odwrociłem się i wykonałem trasę powrotną. W sekretariacie Stefa zrobiła słynny w placówce "żmijowy języczek" i wskazała kciukiem drzwi.

- Żadnych rad? - zapytałem szeptem.

- Absolutnie zero - odpowiedziała.

Franca.

- Zero to jest absolutne - warknąłem, zapominając, że tylko głupiec zadziera z sekretarką przełożonego.

- Może też być mniej niż zero - rzuciła obojętnie.

Uff, nie przejęła się moją agresją. Albo, menda, udaje.

Odetchnąłem, poprawiłem krawat, nastroszyłem języka na głowie i bez pukania wszedłem do gabinetu szefa.

- Aspirant...

- Pamiętam. Nie awansujesz od dwóch lat, to zapamiętałem stopień. - Wskazano mi krzesło. - Siadaj.

Mój przełożony, Konrad S. Tupoj, uwielbia kapitana Klossa i wygląda jak jego drugojajeczny brat: falujące włosy z bujnym lokiem nad czołem, starannie ogolony, ale z wąsem, dlatego w tym aspekcie przypomina Gromostawa Czempińskiego, zresztą swojego byłego przełożonego. I z tej jednak, i z drugiej strony wygląda jak zacny lew salonowy, o ile to określenie jeszcze pokutuje i ktoś je rozumie.

Nie udawał, że patrzy w moje akta, patrzył mi w oczy. I szacował.

Tupolew. Od czasu, gdy ktoś wytłumaczył, że po rosyjsku "tupoj" znaczy "tępy", nazywamy szefa "Tupolew", taka subtelna "sra półgłówek": z rosyjska, żeby się czuło, że wiemy, co znaczy, ale nie jesteśmy na tyle durni, żeby tłumaczyć wprost.

Zresztą - broń Panie! - nie jest tępakiem.

W naszej firmie, jak i pokrewnych, tępaków nie ma. Mogą być lizusi i sługusi, konformiści i gorliwcy, ale dupek, bez względu na to, jaka "politopcia" rządzi, wstępu tu nie ma.

- Kamil, jest subtelna i bardzo, ale to bardzo dyskretna sprawa.

- Mam na drugie imię Milczek - zapewniłem go.

Poczęstował mnie spojrzeniem numer cztery: "Kiegochują się wygłupiasz?".

- Kończ kabaret. - Skinąłem głową posłusznie. - Za chwilę pojawi się tu pewien gość. To Polak, ale z USA. Nie przedstawiciel Polonii. Sam ci powie to, co ci powiedzieć chce i może. Ja cię oddaję pod jego komendę, i zapominam o tobie aż do zakończenia sprawy. Czy też spraw. Ty najlepiej również o nas

zapomnij, gdzie jesteś zatrudniony, nie oczekuj wsparcia, specarsenału, spektakularnych akcji... Dla własnego dobra i zdrowia, zapomnij o tym. Pamiętaj: idziesz pod jego komendę i on o tym wie.

Uniosłem brew.

- Wypadasz na coś na kształt urlopu bezpłatnego - ciągnął przełożony. Głośno przełknąłem ślinę. Tupolew omiół spojrzeniem sufit, czyli już zaczynałem przeginać. - Wypłacimy ci nagrodę okolicznościową, za... - Zastanowił się, ale nie znalazł niczego w moich dokonaniach. - Za coś tam... Postaraj się po prostu nie wciągać firmy do tej sprawy, dobrze?

- Broń? Łączność?

Pokręcił głową.

- Zrozum: "postaraj się nie wciągać" nie oznacza, że zostajesz sam, a my patrzymy, jak ktoś cię dyma. Nie. Ale dopóki się da, i na ile się da, nic oficjalnie nie wiemy. A prywatnie powiem ci, że gównie wiem, i że się z tego cieszę.

- Czy mi się zdaje, czy tu cuchnie polityką?

- Tak. Niestety, tak. Nie. Niestety, nie. I nie zgaduj dalej. To nie jest nic z naszego kochanego kraju. Wyświadczamy dużą przysługę naszemu największemu... - wzniosł oczy do nieba - tfu! - do sufitu - ...oby trwał wiecznie, sojusznikowi. Rozumiesz, tarcza antyrakietowa z jednej dupy strony, Putin i jego następca, z drugiej. Jeśli się wypniemy na USA, to oni się wypną na nas, a tego żadna politopcia nie chce. Dlatego oddaję swojego najzdolniejszego agenta do dyspozycji i do realizacji.

- Szefie, po co mnie pan obraża? Przecież ja za pana do... do wody bym...

- Pierdziel się, Kamilku. Sam umiem pływać.

- No to w og...

- Szefie, dostałam umówiony sygnał - przerwała mi przez interkom Zdziruda.

- Okej. Kamilek już tam idzie. Ja im nie jestem potrzebny. - Odchylił się w fotelu, skrzyknęło. Wyłączył interkom. - Kamil, kurwa, spuszcza się na twoją inteligencję i twoje wyczucie. Jesteś leniwy jak jebany jebaka kocur i masz niuch na śmietanę i skąd nadlatuje mokra ścierka. Zrób temu gostkowi loda, niech wyjedzie zaspokojony po uszy, a nie pożałujesz. I pewnie cała nasza ojczyzna. I - uniósł palec - przypomnij sobie, ile razy słyszałeś z moich ust to słowo!

- Lód?

- Ojczyzna, kurwa twoja mać. Wypieprzaj, błaźnie. Wal do Empiku na Marszałkowskiej i kup dwa egzemplarze najnowszej powieści... tego, no, Numero Uno w Polsce.

- Sapkowskiego?

- Nie, tego na de... - Cmoknął ze złością. - Poszukaj na liście topów. Żegnam

ciepło.

My, chłopaki z ABWery nie zadajemy pytań, których zadawać nie wolno. Wyszedłem z gabinetu Tupolewa, pomaszerowałem do zbrojowni, gdzie grzecznie zdałem broń, służbowego colta, pobrałem z kadr wypiszkę urlopową i wyjechałem swoim trzyletnim seatem toledo z parkingu na ulicę. Szlaban, jak zwykle - dla zmyłki - otwarty, w budce senny dziadek z agencji ochrony. Któryś ze staruchów przyniósł kiedyś stare dzieło z Redfordem w roli głównej, opowieść o tym, jak ktoś rozpierdala w drobny mak głęboko utajnioną komórkę wywiadu, a cudem ocalony agent zaczyna walczyć o życie i wyjaśnienie sprawy. Tam była "zwyczajna kamienica" w szeregowej zabudowie, w naszym przypadku jest zestaw dwóch willi, z łącznikiem na poziomie pierwszego piętra. Obrzydliwe to aż strach, ale zamaskowane dobrze. Willa Kondora...

Włączyłem się do spokojnego o tej porze ruchu i pojechałem do centrum. W Empiku aż kipiało, na dole dominowały młode kwoczki, z wypiekami na twarzy polewające się perfumami z testerów, gotowe chyba nawet na szybki numerek za butelkę jakiejś wody Lapapindi; poziom intelektualny klientów rósł jednak wraz z wchodzeniem po schodach: przez półgłówków od komiksów i paraepileptyków od gier komputerowych, aż do młodych wykształciuchów - prasa, prasa, prasa i książki. Cztery, kurwa, żywioły.

Nawet nie próbowałem nikogo wyczaić. Kilkaset osób w różnym wieku, większość zajęta wertowaniem książek, nikt na nikogo nie patrzy, to jak mam wyniuchać, który to jest ów sekretny mój nowy dowódca? Rzuciłem okiem na top 20. "Niegrzeszna dziewczynka". Coś dla pedofilów czy pedosadomaso? Ładne słowo "pedosadomaso". Brzmi, jakby ktoś po hiszpańsku pytał: "Pedo, sa doma sò?" - czyli: "Piter, masz coś na ząb?".

Dobra, hiszpańskiego nie znam. Wracamy do pracy. Patrzę na okładkę, w dupę i nożem! Ja mam wziąć dwie takie? Jak ktoś zobaczy, to jestem ugotowany! A! Ale jak nikt nie zobaczy, to nie poznam nowego przełożonego. Jassna mać!

Młodzianek z kolekcją oporników w uchu szybko odłożył pitę, którą usiłował wpakować w organizm. Położyłem bez słowa dwie "Niegrzeszne dziewczynki" na ladzie, dołożyłem kartę. Uśmiechnął się, skasował.

- Pięćdziesiąt osiem - powiedział. - Czy ma pan kartę "Premium Club"? Upoważnia...

- Nie mam - przerwałem.

- W takim razie już panu ją proponuję. - Wyszarpnął z kolumny kartę z jakimś radosnym fotem, zaktywował ją migiem i dołożył do reklamówki.

W dupie tam twoją kartę. Będę sobie wypychał portfel różnymi gównami, na gaz, na gazety, na tramwaj, na kaszanke, na kosmetyki?!

Uśmiechnąłem się promiennie, odebrałem swoją kartę, chwyciłem reklamówkę i skierowałem się do wyjścia.

Nie miałem tu już nic do roboty. Nic się nie działo. Pokonałem schody slalomem między szpanującymi na czytelników gołodupcami i wyszedłem na Marszałkowską, oświetloną jasnym słońcem, ale wystarczy, że zbliży się kilka francowatych cumulusów i skończy się ciepełko. Co tu jeszcze robić? Rozejrzałem się, zerknąłem na zegarek i skończył mi się zasób rytualnych gestów. Sięgnąłem do torby. Oż! Dupa jasna! Pewnie, że tu. Między książkami tkwił kartonik, oderwany chamsko z narożnika jakiegoś opakowania: "Ja, Markiz".

Tiaa...

W połowie Ludnej dwupoziomowy lokal – znany, ceniony, drogi. Ciekawe kto i dlaczego wybrał akurat to miejsce? Tupolew? Nikt inny. Przecież ten nieznajomy dowódca chyba jeszcze nie wie, z kim będzie pracował. A może tak? Może wszystko już się szydełkuje od roku, a tylko ja, biedna pętelka brzegowa nic nie wiem? Poszedłem na parking, odpaliłem toledo i pojechałem na Ludną, niemal godzina jazdy, żeby to Roch wydupił, czy też duch wyrobił!

Dobra. Jest południe, kilka minut po dwunastej. Z głośników już na szczęście przestał się łać ten cholerny upierdliwy hejnał z intelektualnej stolicy Galicyi, podjechałem pod "Ja, Markiz...", zaparkowałem prawie bez łamania przepisów. Przemierzyłem czterdzieści metrów ulicą, na której niemal nigdy nie uświadczysz kobiety, i wszedłem do lokalu.

ROZDZIAŁ 2

Czterdzieści minut później nic się nie działo. Byłem już w trakcie jedzenia zupy, bo po dwudziestu minutach czekania uznałem, że można przecież czekać na kontakt i jednocześnie wykonywać inne racjonalne czynności. Zrazy z kaszą mazurską dostałem dokładnie minutę po zjedzeniu kremu z borowików. Jedno i drugie co najmniej dobre. Nie tak jak w czasach, gdy kuchnią rządził mistrz Ryszard, ale dobre. Kelner Leon, z cyrkowo wykonaną "brodą" szerokości jednego włosa, bez specjalnej krzątaniny, ale szybko i sprawnie mnie obsłużył.

Sączyłem gazowaną mineralną, gdy z prawej padł na mój stolik cień. Zamierzałem udawać, że nic nie widzę, ale gość nie dał mi okazji do zabawy.

- Pan Kamil Stochard?

- A kto pyta? - rzuciłem niczym Linda w przestrzeń przed sobą.

Podniosłem wzrok.

Kasztanoworudy wariant Rocka Hudsona. Nie, nie Rocka Hudsona, lecz raczej Toma Selecka, Hudson nie nosił wąsów. Spojrzenie ciemnobrązowych oczu pod ładnie wykreślonymi gęstymi brwiami. Z dołu, z pozycji siedzącej, wyglądał na wyższego ode mnie, czyli od stu osiemdziesięciu trzech centymetrów, obrączka na serdecznym palcu lewej dłoni, czyli - nic nieznacząca, bo część ludzi tak nosi oznakę wdowieństwa, a część, po amerykańsku, małżeństwa. On pewnie oznakował się na okoliczność małżeństwa, wszak to Amerykanin. Ale mówi po polsku dobrze, oceniłem, choć wypowiedział dopiero trzy słowa. Wstałem.

- Kamil Stochard - powiedziałem i wyciągnąłem dłoń.

- Jerry Wilmowsky.

Wymieniliśmy mocne, energiczne uściski. Wskazałem mu krzesło naprzeciwko siebie, zerknąłem na Leona, ruszył w naszą stronę. Sprzątnął naczynia i przyjął kolejne zamówienie: dwa kieliszki wina. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę, ja otwarcie, on, widząc moją metodę, chętnie do niej dołączył. Zlustrowany odchylił się na krześle.

- Widzę, że obaj palimy się do roboty i nie mamy ochoty na bicie piany. No to ruszamy. Przyjechałem tu, ponieważ prowadzą do was bardzo wyraźne i nader podejrzane tropy. Powiedziałbym kilka lat temu "sekta", ale to nie jest sekta, i to już wiemy. To coś innego, gorszego, groźniejszego, trudniejszego do wykorzenia. W każdym razie jest coś takiego, grupy bardzo niebezpiecznych ludzi, i tropy kilku z nich, bardzo wysoko stojących w hierarchii... - zaciął się na

ułamek sekundy w poszukiwaniu słowa. I znalazł! - ...prominentnych, używając współczesnej polszczyzny, przywódców, prowadzą do Polski.

- Potomek w którym pokoleniu? - rzuciłem.

Znowu ułamek sekundy opóźnienia; wspaniale znał polski, ale jednak nie tak, jak Polak tu mieszkający.

- Nieee, no ja wyjechałem, mając jedenaście lat. Nie należę do starej Polonii. - Uśmiechnął się.

- Co do języka, to niemal... idealnie - pochwaliłem go.

- Wiem - przyznał skromnie. - Niemal. Po wyjeździe stąd usiłowałem zapomnieć polski, w każdym razie nie używałem go prawie wcale. Ale gdy postanowiłem zostać zawodowym wojskowym, kiedy uświadomiłem sobie, że znajomość egzotycznego języka będzie bardzo mocnym punktem dodatnim, natychmiast przypomniałem sobie, gdzie mieszkają dziadkowie, przenieśliem się na Greenpoint, powiedziałbym, że wyemigrowałem z USA na... - uniósł wzrok i policzył w myślach - ...prawie pół roku. Łyknąłem trochę ukraińskiego i rosyjskiego, ale te dwa mi się mylą, tyle że nie wpadam w panikę na widok cyrylicy.

- Nazywamy ją tu pismem krzesetkowym - powiedziałem.

- O? - zdziwił się.

To by go zdradziło, gdybym już nie wiedział, że nie Polak. Tak nikt się u nas nie dziwi, co najwyżej w filmach. Albo w szalenie efemerycznych salonach. A my siedzieliśmy nie w salonie, tylko w knajpie dla gejów. Uniosłem kieliszek, posmakowałem. Nie rozpoznałem. Nie znam się na winach. Pewnie nie odróżniłbym jakiegoś szatolafita od sofii, no i już, oczywiście, nie pamiętałem, co zamówiłem. Bo z palca.

- Nas... e... nasze kierownictwo bardzo niepokoi nasilenie się działania owej... mówmy na razie: sekty - poinformował Jerry. - Prosta służbowa zależność powoduje, że ich niepokój przenosi się na nas. Ja też, prywatnie, się niepokoję. Tu - rozejrzał się dokoła - nie będziemy wchodzić w szczegóły, ale powiem ci, że większość ludzi, po raz pierwszy stykająca się z zagadnieniem, kręci z niedowierzaniem głową. Mam nadzieję, że należysz do tej części ludzkości, która po chwili kręcenia podejrze do sprawy racjonalnie i z zapałem. Dobry katolik powinien - zakończył niespodziewanie.

Nie jestem dobrym katolikiem. Ale nie powiedziałem mu tego. Nie jestem w ogóle katolikiem. Jestem gejem, ale tego mu też nie powiedziałem. Zresztą - ktoś go już uprzedził, skoro umówił nas tu, skoro dał znak: "Wiem o tobie tyle i tyle, bądź tego świadom". Jestem.

- Mów, mów - zachęciłem. - Słucham.

Milczał, więc dodałem:

- W tej chwili nie wiem, jakiej pomocy potrzebujesz. Co chcesz zrobić. Dokąd

się udać. Jakie osiągnąć wyniki.

Ktoś musi pierwszy odstąpić swój biały miękki brzusek.

- Cel mojej misji jest taki: sprawdzić tropy wiodące do Polski. Jeśli nie są mylne, odnaleźć możliwie dużą liczbę wyznawców kultu.

- I?

- Na razie tyle.

Oj, niedobrze. W ogóle niedobrze.

- Dobra, do czego i kiedy się zabieramy? Gdzie możemy porozmawiać o tym spokojnie? - zapytałem. - Czy mam zabezpieczyć lokal...

- Aktualnie potrzebuję... - Pochylił się ku mnie i wystawił kciuk: - Lokal. Tak. Mieszkanie dla siebie. Całkowicie niezależne, na obrzeżach centrum, tak, żeby można było niezależnie od korków ruszyć się z miejsca. Dwa, ja mam broń, co z tobą?

Wzruszyłem ramionami.

- Dobrze. Masz może jakieś znajomości w kręgach kościelnych?

Pokręciłem głową.

- Żadnego ulubionego proboszcza? Ktoś cię przecież prowadził do komunii. - Zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam. Oderwałem się od łona. - Czekał wyraźnie na więcej, więc dodałem: - Znałem jednego, niezwykle zacnego księdza, który na pytanie, co znaczy matka boska na ołtarzu podczas niedzielnej mszy, odpowiadał, że należało w sobotę zakąsać obficie. Ale, niestety, on nie żyje.

- Aha. No nic, zostawmy to na potem. Kiedy znajdziesz mieszkanie?

- Już mam - powiedziałem. - Możemy tam jechać zaraz. Razem, oddzielnie, jak chcesz.

Rozejrzał się po lokalu, tym razem inaczej. Czujnie. Uważnie.

- Czy może nas ktoś obserwować?

- Głowy nie dam, ale wątpię.

- Na wszelki wypadek rozdzielmy się. Ja wyjdę tyłem, wiem jak.

Fajny gość, ja tu chodzę od roku i nie wiem jak, a ten przyleciał z... Właśnie, skąd? I już wie?

- Wskoczę do ciebie na rogu Orłowicza.

Wstał, podniosłem się i ja, wymieniliśmy uśmiechy i uściski dłoni.

Poszedł sobie, a ja spokojnie dopiłem wino, przepłukałem usta wodą mineralną i przechwyciłem wzrok Leona, zapłaciłem. Chwilę potem byłem na ulicy. Posłałem obojętne i syte spojrzenia w prawo i w lewo, po czym wsiadłem do wozu i ruszyłem. Nie przyglądałem się zbyt długo ulicy, ale Jerry udanie się ukrył. Odkryłem jego obecność dopiero, gdy na skrzyżowaniu szczęknęła

klamka, samochód bujnął się na amortyzatorach, a w lusterku wstecznym mignęła jego twarz. Pojawiła się dopiero po czterech przecznicach, kiedy przemknąłem na czerwonym. Żeby upewnić się, że nikt za nami nie jedzie.

- Fajnie! - rzucił z tyłu mój pasażer.

- Fajnie co?

- Na czerwonym. U nas już prawie wszędzie działa system ostrzegający kierowcę z GPS-em o cyklu świateł. Już się nie da powiedzieć, że światła cię zaskoczyły, bo każdy wie, ile ma czasu, zbliżając się do skrzyżowania z sygnalizacją.

- To do dupy - skwitowałem.

- No!

Nie tylko przemknięcie "pod czerwonymi" upewniło mnie, że nikt za nami nie jedzie. Mogłem być tego pewien, ponieważ - o dziwo! - w ogóle nikt za nami nie jechał.

No i dobrze, dość szybko udało mi się przez Ujazdowskie i Koszykową wymknąć z pierścienia korków, czterdzieści minut później zameldowaliśmy się na Krochmalnej, trzecie piętro. W środku pokręciłem palcem nad głową, proponując Jerry'emu zapoznanie się z lokalem, sam poszedłem do kuchni i chwilę potem, nie pytając o gusta, zalałem oczekwanym wrzątkiem dwa kubki rozpuszczalnej kawy. Nic więcej w tym domu nie było.

Wniosłem do pokoju kubki i postawiłem na stoliku, między dwoma fotelami.

- Niestety, nie spodziewałem się gości i niczego innego nie ma, nawet śmietanki i cukru.

Uniósł brew.

- To mieszkanie siostry. Wykupiła u developera, ale nawet się tu nie wprowadziła, mieszkanie na nazwisko po mężu, eksmężu.

- A siostra?

- Pojechała do Edynburgu i maluje na Royal Mile portretowe karykatury, a może karykaturalne portrety. Przyznaje, że maluje słabo, ale turystom z Japonii wydaje się, że to przykład miejscowej sztuki ludowej, i jak widzą dynię z dwiema skośnymi kreskami niezawodnie rozpoznają w tym siebie. Gówniara zarabia cztery razy... - Po co ja to mówię? - zastanowiłem się, ale już nie było co się tajniczyć. - Lepiej niż średni rodzimy lekarz z przeciętnym stażem. Takie czasy i okoliczności - zakończyłem topornie.

Pokiwał głową. Potem wstał i poszedł do kąta, gdzie stała ogromna i piękna, półtorametrowa i lampowa wieża Sony. Bez wahania w dziesiątkach sensorów i przycisków wypatrzył odpowiednie i po chwili cisza w mieszkaniu została wyparta przez miękki soczysty basowy dźwięk. Nawet udało mu się nie wypuścić dzina w postaci jakiejś britnejowy. Nie, aksamitny smooth miękko otulił nas dynamizującą energetyzującą poduszką.

Przechodziliśmy do sprawy.

- Co wiesz o zadaniu? - zapytał, usiadłszy z powrotem w fotelu.

- Nic. Tyle, co od ciebie. Jesteś moim przełożonym, a ja formalnie jestem na urlopie. Co do możliwości operacyjnych, to zachowałem sobie pewne wsparcie, tak robimy w tego typu sprawach. Broń służbową zdałem. - Skrzywiłem się, dając do zrozumienia, że to nie jest problemem.

- Mówi ci coś nazwisko Lovecraft? - Chyba usiłował mnie zaskoczyć pytaniem kompletnie z innej beczki.

- Ten tak zwany Samotnik z... - Nazwa miasta uleciała mi z pamięci.

- Z Providence.

- A tak, dziękuję. Autor mitologii Cthulhu? Czytałem ze dwa zbiory opowiadań.

- Znakomicie, to nam zaoszczędzi czasu. Drugie pytanie...

- Jerry, a może na zmianę? Jedno ty, jedno ja? - przerwałem dość niegrzecznie swojemu szefowi.

- Okej. Tylko od razu ustalmy, że nie afiszuję się swoim obywatelstwem. Mów mi Jerzy. I pytaj.

- Może coś o robocie?

Wysunął żuchwę, błędnie nazywaną szczęką, i rozważał moją propozycję z miną Marlona Brando jako ojca chrzestnego.

- Ślady, jak mówiłem, prowadzą do Polski z kilku krajów, a są to kraje szczególne: Iran, Irak, Czeczenia, Afganistan, Liban, Syria... - Zawiesił głos.

- Terrorystów wszystkich krajów łączcie się - rzuciłem.

- Dokładnie. Do tego z USA i Wysp Brytyjskich. A wszystko to prowadzi do Polski.

- I do takiej poważnej roboty oddelegowano aż dwóch ludzi? - zapytałem, nie kryjąc powątpiewania. - Wiem, że wyjątkowych, ale...

- Nie, to znaczy, tak. Inaczej, nie tropimy terrorystów, tych tu chyba nie ma, ale ludzi, którzy w kociołku wrzącym na ogniu fundamentalizmu, fanatyzmu i kilku innych "yzmów", warzą swoją warzę.

- Ładnie powiedziane - pochwaliłem Jerzego. - Nie każdy Polak by tak potrafił.

- Dziękuję. W specyficznych, nasyconych emocjami zbiorowiskach ludzi, ci... ci, co ich szukamy, rozgrywają swoje interesy. I prawie na pewno niektórzy pojawili się w Polsce. Albo coś tu knują-montują, albo wyczekują na dogodny moment, żeby skoczyć gdzie indziej. W każdym razie są tutaj. Ich szukamy, znaczy - będziemy szukać.

Freudowskie przejęzyczenie? Czyli już szukają? Ilu? Kto? Z jakiej firmy?

Cebesiki?

- A jak znajdziemy? - zapytałem, starannie ukrywając pracę mózgu.

- Będziemy się martwić, jak znajdziemy. - Sięgnął po swój kubek i siorbnął.

Czyli mokra robota, uznałem.

- Teraz moja kolej, tak? - zapytał. Skinąłem głową. - Masz znajomości w innych agendach rządowych, a przede wszystkim w zwyczajnej policji?

- Wątle. A przede wszystkim nienadające się do korzystania w krytej sprawie.

Widzisz, mamy tu, w kraju, dość silne uzależnienie organów ścigania od opcji politycznych, aktualnie rządzących. Co większe skurwysyny na dworze tylko do tego wykorzystują służby, by mieć w przyszłości, gdy to się okaże potrzebne, knuta albo haka na kogo się da. Czyli ja się zgłaszam do kolegi komendanta po pomoc, on to zapamiętuje i, kiedy trzeba, wpierdala kołek w zadek mojemu przełożonemu, za to że nie dopilnował podwładnego. Rozumiesz?

- Oczywiście. Nic nowego. - Chyba się trochę zasmucił. To dobrze. Niech mu się nie wydaje, że cała Polska stoi do niego otworem, jak mawiała "młoda

lekarka" w radio. - Hm...

- A co ma wspólnego Cthulhu z terrorystami czy ich ideologami albo

trenerami?

- Ma. Na razie tyle. A Rosja?

- Co Rosja? - Roześmiałem się. - To nie jest moje pytanie! To precyzowanie

twojego.

- Czy Rosja ma tu coś do dyktowania? W Polsce? Coś przegapiłem podczas

przygotowań?

- Nieee, raczej nie. Jesteśmy w fazie wychłodzenia stosunków. A właśnie,

Czeczenia. Ten temat, ci prominenci z Czeczni. - Uniosłem palec. - Teraz tak

się modnie to nazywa: Czecznia. No więc, Rosji nie rusza, że stamtąd coś

przecieka?

- A przecieka?

Prychnąłem.

- Miesiąc temu jakaś Czeczenka z czwórką dzieci pieszo przekroczyła granicę

ukraińsko-polską. Troje dzieci zmarło w drodze w lesie, czwarte się uratowało.

Co tu gadać o przeciekach, skoro amatorka z bosymi dziećmi może się do nas

przesączyć? Tylko pytam: czy Rosjanie to akceptują?

- Rusza ich, ale chyba jeszcze nie wiedzą, jak ich to rusza i jak to ugryźć. -

Zastanawiał się przez chwilę. - No dobra. Ja się zabieram do przenoszenia tu

swoich maneli. - Ładnie poderwał rękę i zerknął na fajnego timeksa. Mam

fajniejszego. - Jest piąta. Ty masz na dziś urlop. Poczytaj sobie opowiadania o

Cthulhu. - Chyba nie zauważył sprzeczności w dwóch kolejnych zdaniach. -

Spotkamy się jutro o dziewiątej. Tutaj. Nie przyprowadź za sobą ogona.

- Zrobić ci zakupy? Coś do jedzenia, picia? - Wstałem.

- Nie. Dziękuję. Dam sobie radę. Ćwiczę wchodzenie w skórę Polaka. -
Uśmiechnął się.

Też umiem być miły.

- Już w niej dobrze tkwisz, a jak się przyłożysz, będziesz bardziej polski niżli ja.

Niech nie myśli, że tylko on włada wykwinną polszczyzną.

Wyszedłem.

Na schodach pomyślałem, że musi mieć tu jeszcze kilku ludzi, albo i więcej. Po pierwsze, nie za bardzo boi się ogonów, więc ktoś go ubezpiecza. Po drugie, jak na razie wszelka moja pomoc była odrzucana. Nie, wziął mieszkanie. Po trzecie...

Och, nieważne.

Znalazłem się na podwórku, minąłem dwie klatki schodowe obsadzone szpalerami chudych bżów i korzystając z uniwersalnego klucza, wyskoczyłem na krzyżującą się z Krochmalną Żelazną. Z miną kogoś, kto czeka na taryfę, przespacerowałem się przed wejściem, zerkając raz i drugi na zegarek. Potem wyszedłem na róg i rozejrzałem się ponownie. Jak dla mnie nie działało się nic niepokojącego. Po kilku sekundach zmieniło się tyle, że z bramy wyszedł Jerzy i spokojnie pomaszerował w przeciwną do mnie stronę. Rozważałem opcję podczepienia się do niego, ale - w końcu - jest, chyba, coś takiego, jak etyka zawodowa!

Poza tym mógł mieć kontrogon i bym wtopił.

Wróciłem do domu i zacząłem szukać po półkach Lovecrafta. Trochę trwało, zanim odnalazłem podkurzony tomik; musiał od dawna stać nieruszany. Na pewno, przy tej podaży nowej literatury skończyło się czytanie tego samego Chandlera w kółko Macieju.

Poczytałem, z mieszanymi uczuciami. Kurde, nikt już tak nie pisze.

Czy to dobrze, czy źle?

ROZDZIAŁ 3

O ile dobrze pamiętam – a wiem, że tak – nie dawałem Jerry'emu swojej komórki, t e j swojej komórki, a miał ją. Choć zadzwonił o dziewiątej rano, nie obudził mnie, dawno już byłem po karmieniu Pixela, po prysznicu i pierwszych dwóch kawach. Gdy usłyszałem w słuchawce "Tu Jerzy, możemy porozmawiać?", odruchowo skrzywiłem się, przyłapany na niesubordynacji: nie przebrnąłem wczoraj do końca nawet jednego opowiadania. Stanowczo moc literacka i wizja Lovecrafta mnie nie przyszpiliły. Wolę coś jak *The Blair Witch Project*, jedynekę, ma się rozumieć. Kiedy sobie przypomnę kilka bezksiężycowych nocy w namiocie w lesie... O, to działa. A takie tam memłanie: moc, nieznany, niewiadomy, niewidzialny, ale bestia... Nie siecze mnie.

Nieważne. Dzwonił mój szef.

– Tak. Ogólnie tak – odparłem.

– W takim razie mam dla ciebie zadanie, dość pilne i... – Zawahał się. Może nie chciał powiedzieć "dość ważne"? – No, tyle. Pilne.

– Gdzie chcesz się spotkać?

– W "Alicji w krainie czarów" – powiedział i się rozłączył.

Skoro tak postąpił, był pewien, że znam ten lokal. Ale nie znałem! Kurde, wertowałem pamięć, aż się zakręciła jak słońce po marmicie, nie było w niej jednak informacji o takim miejscu. Rzuciłem się do palmtopa, lecz przystanąłem w pół kroku. Złe myślenie, stop, nie tak – był pewien, że rozumiem to, czego nie rozumieją szybko inni. I nie miał na myśli konkretnego lokalu, bo... A! "Uśmiech z Cheshire", inna knajpa dla gejów, na placu Walecznych. Jasne, że tak. Okej. Jedziemy.

O tej porze do Wierzbowej można było myknąć w dwadzieścia minut. Mnie zajęło to dwadzieścia dwie, ale gdy szedłem do lokalu gęstym szpalerem krzewów bez nazwy, bryknął mi wibrator, a SMS powiadomił: "Skacz w krzaki i wsiadaj do clio". Zatrzymałem się i przykucnąwszy, przewiązałem sznurówki. W polu widzenia nikogo, mogłem skoczyć tylko w lewo, bo z prawej miałem już mur budynku, skoczyłem więc. Po paru krokach wyszedłem na alejkę, na końcu której stało czarne clio trójka.

Jerr... Jerzy wyglądał na wypoczętego i zrelaksowanego, ruszył od razu, bez pisku opon i wyrzucanego spod kół żwiru. Milczałem, milczał przełożony. Tak sobie głośno pomilczeliśmy dobre kilka minut.

- Nienawidzę ich - powiedział cicho, ale wyraźnie.

- Czy to nie jest pierwszy i jedyny powód, by odsunąć cię od tej sprawy? - zapytałem.

- To nie jest sprawa kryminalna. - Rzucił mi rozbawione spojrzenie. - Moje zaangażowanie bardzo się podoba szefom. Zresztą, tu nie można być posądzonym o stronnictwo czy nadgorliwość. Wręcz, powiedziałbym, na przeciwko.

- Przeciwnie - poprawiłem odruchowo i syknąłem w duchu.

- Wiem, mówię tak, jak się tu mówi w pewnych kręgach, umyślnie nie po polsku: "poszłem", "laptok", "wyłanczam"... - Skręcił w Wybrzeże Gdańskie i pomknął w stronę Cytadeli. - Jestem zaangażowany ideologicznie, że tak powiem.

- Jak czekista w tępie białej gwardii?

- Dokładnie. - Użył angielskiej kalki "dokładnie", jak robią to miliony Polaków. - Jesteś niewierzący, bo racjonalista? - spytał.

Wzruszyłem ramionami.

- Jestem niewierzący, bo nie jestem wierzący. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Obowiązujące rytuały mnie... Śmieszą? Bo co? Wszechpotężna istota siedzi gdzieś i czuje się połączona procesją z sypaniem kwiatków? No, nieważne. Może nie dorosłem, może jestem za głupi. Może jestem zbyt wielkim egocentrykiem, bo wierzyć znaczy w pewnym stopniu nie myśleć. Nie myśleć: wierzyć. A ja nie umim.

- Dobra, to twoja sprawa. Chodzi o to, że w naszej sprawie będą się przewijać wąteczki i wątki takie właśnie, nie empiryczne, nieweryfikowalne, nienamacalne. Ale kurewsko ważne.

- Rozumim.

- Ni chuja nie rozumisz! - prychnął. - Ale nie winię cię. Tak naprawdę to nikt wszystkiego do końca nie rozumie.

- A ty?

- Ja niemal rozumiem. Ale ja jestem... Inny.

- Alien - pozwoliłem sobie na lekką kpinkę. Choćby po to, by sprawdzić, czy mogę sobie na takową pozwolić.

- *Touche* - syknął.

Mogę. Rozluźniłem się, bo nie ma nic gorszego niż szef smutas.

Jerzy nagle przyspieszył, powstrzymałem się od oglądania, migiem byliśmy przy ogródkach działkowych. Jakaś starsza pani właśnie wyprowadzała swoją ciemnozieloną micrę, widząc nas uśmiechnęła się szeroko i - biorąc najwidoczniej za swoich - zaprosiła do środka. Jerzy, nie wiem czemu, skorzystał. Najpierw pomyślałem, że będziemy musieli przy wyjeździe ukrecać

kłódkę. Potem pomyślałem inaczej, że na pewno ktoś będzie tu wjeżdżał, gdy my zechcemy opuścić kompleks. Parking był ładnie zakomponowany, za grubą i wysoką ścianą zieleni. Żeby nas wytropić, potrzebny byłby śmigłowiec.

Wysiedliśmy. Jerzy ruszył do świetlicy, czy jak się tam nazywa taki, kurde, bungalow działkowy.

- Będziemy płacić wpisowe? - zapytałem.

- Proszę! - jęknął.

Dziękuję, już rozumiem.

Zamknąłem się.

Drzwi były otwarte. W środku, mimo że to budynek zarządu czegoś, co się kojarzy ze świeżym powietrzem, zdrowiem, witaminą, w dupę i nożem, śmierdziało starymi papierami, mokrym tapczanem i lekko pluskwami. Albo świeżą kolendrą. Nigdy nie mogłem zapamiętać, co ma smak czego: kolendra pluskiew czy pluskwa kolendry.

Jerzy nie zamykał drzwi, usiadł na tapicerowanej konstrukcji z rurek naprzeciwko wejścia. Dla mnie został wydarty z jakiegoś kina w rodzaju "Polonii" albo "Bałtyku" szereg siedzisk ze sklejki.

- Coś ci mówi nazwa Drzwi do Białego Brzasku? - przystąpił do rzeczy.

Zaiste, wielkiś ty, Internecie! A Google, Altavista i Yandex są twoimi tu prorokami!

- Odprysk sekty Moon? Albo, raczej, jej inna nazwa. Kościół Zjednoczenia. - Mam dobrą pamięć, gładko recytowałem przyswojone kiedyś dane. - Używa prawie stu nazw na całym świecie. U nas został zarejestrowany jako Ruch pod wezwaniem Ducha Świętego do Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego. Ja - wzruszyłem ramionami - już za samą taką nazwą zakazałbym działalności, ale widać tylko ja tak myślę. Mają swoje centra w Głanowie i Izabelinie.

- I malutki ośrodek w Warszawie - wpadł mi w słowo Jerzy. - Tego jeszcze nie ma w sieci, ale w realu jest. Około setki moonies... - Zawiesił głos.

Przeczekałem go.

- I to trzeba spenetrować - zakończył.

- Nie przejdzie. - Pokręciłem głową. - Oni tak nie działają, chyba nie da się podejść pod bramę w pokutnym worku i powiedzieć, że się chce być jednym z nich. Jeśli dobrze pamiętam... - Ach, co za urocze kłamstewko, przecież nie mogłem zapomnieć! - ...to najpierw zapraszają na jakieś kursy, na przykład, japońskiego, potem na wycieczkę do Niemiec, potem jest kilka dysput o światowej Marynidupie, potrzebie odnowy, zjednoczenia i... Aha, zdaje się, że to Moon powiedział: "»Moscow« to prawie jak »must go«, czyli trzeba to miasto i to państwo zdobyć", więc taki antyruski cel też bywa akcentowany.

- Okej. Zgadza się. Miałem na myśli penetrację brutalną: przez płot i

niuchanie.

- Aha. - Zrobiłem minę "czemu nie, ale wątpię". - Wiesz, to zamknięte środowisko, wszyscy się znają. Stroje, pozdrowienia, ścieżki...

- Wiem. Każdy obcy to wróg.

Jassssne.

- Czyli zwiad bojem?

Zdziwił się, zaskoczyłem go, w końcu, językiem polskim. O ile to polski.

- Prowokacja? - rzucił niepewnie.

- Mniej więcej. Zaczepka. Umyślne drażnienie wroga, żeby się odstąpił.

- Dokładnie! - ucieszył się. - Ty drażnisz, ja obserwuję.

- Okej. To lubię.

Serio. Nic mnie bardziej nie podnieca, znaczy - prawie nic, jak szał w oku rywala, a ja sobie stoję obok i patrzę spokojnie na dygoczące ręce.

- Jak stoisz z bronią?

Już o to pytał i już raz uniknąłem odpowiedzi, ale widać był to ważny temat, skoro wracał jak komuniści do władzy.

- Glock. Osiemnaście ce. Nic szczególnego - oświadczyłem skromnie.

- Lubisz dużo w magazynku?

- Tak, zawsze mam cztery przy sobie. Śniło mi się kiedyś, że zabrakło mi jednej kulki...

- A co byś powiedział na desert eagle?

- *Vade, Satanas!* - warknąłem.

- To tylko piętnaście nabojów?

Drażnił się ze mną.

- Będziesz się dłużej droczył, to połowę wsadzę ci w kolano lewe!

Uśmiechnął się z lubością, jakbym mu obiecywał posadzić na to kolano dziewczuskę z sutkami, którymi mogłaby zarysować świeżo położony tynk.

- Masz go. Nie dziś, ale już za momento.

Kurde, ja to chyba jestem infantylny, cieszę się z tej spluwy jak dziecko! Spoko!

- A mamy jakiś plan? - zapytałem.

- Taki sobie. Za parkiem Morysin, ulica Miedza. Znasz?

- Mój GPS zna.

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com